



Do Pune w stanie Maharasztra dojechaliśmy oczywiście pociągiem. A jak...?! To liczące niespełna 3 miliony mieszkańców miasto, położone jest nad rzeką Mula, 170 kilometrów od Mumbaju. Program zwiedzania mieliśmy krótki, bo „zaliczyliśmy” Pałac Agi Khana, Aśram Osho i muzeum, w którym zgromadzono artefakty z 17go, 18go, 19go o 20go wieku. Muzeum jak muzeum... mimo że eksponaty w nim zgromadzone zasługiwały na naszą uwagę, wiadomo jak to bywa w takich wypadkach. Przechodziliśmy z sali do sali poszukiwaniu wrażeń i... toalety. Podziwialiśmy więc zabytkowe sprzęty codziennego użytku, poczynawszy od lamp a skończywszy na tarkach do pięt.

W Pune zobaczyliśmy też pałac Agi Khana i - niestety tylko zza płotu - wspomniany wcześniej aśram dla oryginałów-bogaczy, którzy za 3000 rupii za dzień pobytu, mogą zaznajomić się w nim z naukami Guru Osho, wyciszyć i odnowić duchowo.

Pałac natomiast nie zachwyił tak jak ogrody, w których stoi - kolorowe od kwiatów i z równo przystrzyżonymi trawnikami. My odwiedziliśmy to miejsce, bo przemierzając Indie, szukamy śladów Ghandiego i informacji o nim, a właśnie w pałacu w Pune Brytyjczycy urządzili areszt dla Mahatmy i jego żony Kastruby, która tam zmarła.

Pune nie zapamiętamy może jako miasta, do którego chce się wracać, bo ładne, klimatyczne i „jakiś”... Ot jedno z wielu tu w Indiach i w planie naszej wyprawy. Nie zatrzymaliśmy się zresztą w nim na długo. Zrealizowaliśmy plan zwiedzania i następnego dnia rano ruszyliśmy autobusem w kierunku Matheranu. Wypytywałam Kumara co w tym Matheranie jest takiego ciekawego, ale odpowiadał tylko tajemniczo - zobaczysz. Zobaczyłam... Autobus dowiózł nas do małej wioski Neral, gdzie przesiedliśmy się do wanów a te zwiózły nas serpentynami do miejsca, z którego z plecakami na grzbiecie poszliśmy do wspomnianego Matheranu. Nie było prosto, bo pod górę, daleko i po grząskim gruncie. Ten ostatni odcinek drogi do niedawna można było pokonać wsiadając do kolejki wąskotorowej, ale jakiś czas temu na torowisko osunął się grunt, szkody trzeba naprawić a to wymaga czasu i wąskotorówka ma ruszyć dopiero w październiku. Nam pozostało dreptać pod górę i cieszyć się świeżym powietrzem. W Matheranie łało. I szkoda, że łało, bo miejsce okazało się urokliwym kurortem, w którym chętnie spędzają czas nie tylko turyści jak my ale także lokalsi.

Kumar wynajął dla nas bungalowy w ośrodku Lakshmi, rozlokował wszystkich chłopaków w jednym, a dziewczyny w dwóch czy trzech innych, zostawiliśmy plecaki i poszliśmy na kolację. I wszystko byłoby OK gdyby nie mały i bezpańskie psy, szybko ochrzczone przez wyprawowiczów Szarikami. Był więc Szarik 1, Szarik 2 itd... Szariki szybko wyczuły z naszych plecaków nęcący zapach kabanosów i po dwa - trzy zaczęły pilnować naszych domków. Wkrótce okazało się też, że bronią zaciekle naszą ekipę przed małpizjonami, które nie czekały grzecznie aż ktoś rzuci im COŚ, a po prostu i bezczelnie próbowały ukraść z podręcznych plecaczków butelki ze słodkimi napojami bądź słodkościami.

Obserwowałam z daleka jednego takiego futrzaka, który podprowadził komuś sok, uciekł z nim na drzewo a tam bez problemu odkręcił nakrętkę i duszkiem wypił zawartość butelki „z hejnała”, stojąc na dwóch łapkach. Zabawne? Owszem, ale z daleka. Nawet małe urocze małpeczki mają bardzo ostre zęby i potrafią zaatakować.



W Matheranie niestety małpy były wszędzie i obserwowały ludzi, licząc na łatwy łup. Szczerze ich nie cierpię. Jedna taka, wyglądająca jak pluszak, parę miesięcy temu kiedy byłam w Indiach, rzuciła się na mnie nie dlatego, że miałam na widoku jakiś smakołyk (takich głupstw nie robię), ale dlatego, że pomyliła mój pomarańczowy zegarek z banankiem. Okładanie napastnika plecakiem nic nie dało. Pomógł miejscowy z dużym drągiem w garści.

W Matheranie spędziliśmy noc i wczesnym rankiem mieliśmy zamiar wyjść na mały trekking, by zobaczyć wschód słońca i piękne krajobrazowo okolice z kilku punktów widokowych. Zerwaliśmy się przed szóstą. Mgła... Kumar zarządził odwrót do łóżek na godzinę. O siódmej - mgła i powrót do łóżek. O ósmej...jak wcześniej. Wyszliśmy dopiero przed dziesiątą i poszliśmy w deszczu, żeby zobaczyć soczycie zielone doliny i widowiskowe wodospady. Było pięknie, nastrojowo i wietrznie. A po trekkingu zabraliśmy nasze bagaże i ruszyliśmy w drogę do Pune, by stamtąd pociągiem dojechać do Arsikere a z Arsikere do miasta Hassan. I znowu nie miasto Hassan było naszym celem, a położone niedaleko miejscowości Shravanabelagola i Belur. W tej pierwszej o prostej nazwie, skracanej przez miejscowych o pierwszy człon (do Belagola) zwiedzaliśmy kultowy ośrodek dżinizmu.

Weszliśmy więc najpierw do świątyni na liczącym ponad 900 metrów granitowym wzgórzu Indragiri, pokonując około 650 schodów wykutych przed wiekami w litej skale. Warto było iść boso jak nakazuje tradycja i w skwarze pod górę, by zobaczyć miejsce odosobnienia wyznawców dżinizmu i medytacji mnichów, zdecydowanych na podjęcie dożywotniego postu, nazywanego sallekhana oraz 18metrowy posąg Gornateśwary zwanego też Bahubali, dzieło z X wieku, które sami Indusi uznali za pierwszy z siedmiu cudów Indii. Poszliśmy też na inne, już niższe wzgórze i zwiedziliśmy podobny i równie stary kompleks świątynny. Tomek Szafa Szafarczyk i Michał Kuc przygotowali prelekcje na temat świątyń i samego dżinizmu, bo tak to już jest na wyprawie z założenia KULTUROWO-POZNAWCZEJ, że zwiedzamy, uczymy się, oglądamy i podziwiamy. Jest też czas na oddech, zabawę i wygłupy. W końcu to wyprawa młodzieżowa... No i młodzi pokazali co potrafią, kiedy już schodziliśmy ze wzgórz, bo wygładzone dotykiem milionów rąk poręczce przy kamiennych stopniach i skały „wyświecone” jak lustro stopami pielgrzymów kusiły by z nich zjechać w dół na... „niewymownej” czyli „siedzeniu”. Zjeżdżali więc, w lot zapominając o zmęczeniu.

Po Shravanabelagoli był Belur. A w Belurze też świątynie tyle że hinduskie z epoki Hojsal. Inne architektonicznie, bogato ozdobione koronką płaskorzeźb. Przepiękne. Zwiedziliśmy więc XIIwieczną świątynię Ćennakeśawy, poświęconą Wisznu, którą nakazał budować i sfinansować król Bittiga, czcząc w ten sposób swoje nawrócenie z dżinizmu. Z wycieczki nie chciało się wracać... po drodze zatrzymywaliśmy się jeszcze, by zwiedzić kilka świątyń mniejszej rangi, no żeby coś zjeść, bo w Indiach bardzo smaczne jest to, co można kupić na straganach przy drodze. Samosa, placki z cebulki, pokrojony w małą kostkę świeżutki ananas z masalą, opiekana na węgielkach kukurydza z...masalą i takie tam... W Belurze na przykład młodzi po raz pierwszy spróbowali żółtych, słodkich i soczystych owoców wydłubanych z wielkich, przypominających duriany, kul chlebowca. Zadowoleni wróciliśmy do hotelu w Hassan a stamtąd ruszyliśmy w stronę Kochinu, marząc już o świeżutkich rybach, wielkich krewetach i innych owocach morza, które tam planowaliśmy pożreć.